

Od autora: OD AUTORA

To historia o doświadczaniu traumy, upokorzeń, deprecjacji wartości i molestowania seksualnego, opowiedziana przez mojego pacjenta podczas sesji terapeutycznych. Kiedy po pięciu latach od zakończenia terapii zaproponowałem mu upublicznienie jego przeżyć, zgodził się bez momentu zawahania. Jedynym warunkiem było przedstawienie jego historii życia przy zachowaniu daleko idącej anonimowości. Trzon psychopatologii pozostawiłem nienaruszony, a cierpienie głównego bohatera nie umniejszałem.

Moja książka jest opowieścią o wieku dorastania, odkrywaniu własnej seksualności, pierwszej miłości na tle degeneracji wartości rodzinnych, która jak rak wpływa na życie jej potomków, niszcząc kolejne komórki ich egzystencji w świecie dorosłych. Świadomie nie użyłem słowa „pociech” tudzież „dzieci”. Byłaby to pozytywna ewaluacja wartości biologicznej rodziny, od której mój bohater nie otrzymał niczego prócz bólu. Jego dziecięce doświadczenia nie korelują ze słowem „pociecha”, natomiast mocno łączą się z poczuciem bycia niechcianym, odrzuconym czy wyobcowanym.

Bohaterem książki jest chłopak, nastolatek. Zabiera ciebie, mamę lub tatę, w podróż przez czternaście lat swojego życia. Poprzez wspomnienia kreśli kolejne zdarzenia: od traumatycznych do lepszych, szczęśliwszych, poprzez śmiech i łzy. W swoich rozważaniach podejmuje próbę odpowiedzi na pytanie, gdzie jest granica tolerancji i czy taka w ogóle istnieje.

Tę historię opowiedział homoseksualny chłopak, ale spisał ją terapeuta, który codziennie stawia czoła homofobii, nie tylko tej doświadczanej na ulicy, ale – co jest bardziej bolesne – także od bliskich. Słowa nie muszą być wypowiedziane wprost, żeby dotknęły wnętrza twojego dziecka. Nieroztropne dewaluowanie homoseksualizmu w obecności pociechy może zamknąć przed tobą jego wnętrze na wiele lat, a może i na zawsze. Nie wystarczy być poprawnym politycznie, tolerancyjnym na pokaz rodzicem, bo tak wypada przed znajomymi. Tę fałszywą nutę twoje dziecko, mamę lub tatę, wyczuje, zanim zdołasz dokończyć zdanie.

To w domu Twoje dziecko uczy się bycia w relacji poprzez obserwację najbliższych osób, mam i ojców. To, czy jako rodzic darzysz siebie miłością wzajemną, wpływa na psychikę Twojej pociechy i formuje dobre lub złe wzorce relacji rodziców w strukturze jej osobowości.

Bezspornie najważniejszym obiektem jesteś ty, mamę, ale nie wolno zapominać o roli dla ciebie, tatę. Dobre, męskie wzorce, szczególnie dla dorastającego chłopaka, są jak tlen dla komórek jego ciała. Co takiego dzieje się z dzieckiem, kiedy nie ma wzorca miłości i jej miejsce zastępuje przemoc, niekiedy sadyzm, o których słucham niemalże każdego dnia w zaciszu mojego gabinetu? W książce nie odpowiadam wprost na zadane pytanie, jednak obnażam mechanizmy i uwidaczniam schematy, które jak gen złych albo dobrych wzorców relacji twoje dziecko zaszczerpi w dorosłych związkach czy małżeństwie swoim partnerom.

Głównym bohaterem napisanej przeze mnie historii mógłby być Twój syn: cukierkowy, wręcz przelukrowany, uwielbiający różowy kolor chłopak, przedstawiony na tle obezwładniającej patologii. Aby wyrwać się z sadomasochistycznego uścisku z ojcem, poszukuje męskich wzorców poza domem. Dostaje prezent od losu – miłość swojego życia, która przytrafia mu się jak ślepej kurze ziarno. Mimo to zaczyna niszczyć tę relację. W tobie, mamę, Rafał prawdopodobnie wzbudzi litość, a w tobie, ojcie, może wyzwolić nienawiść. Przecież tak wiele razy słyszałeś, że bycie gejem nie oznacza bycia ciotą, że to właśnie przez androgynicznych chłopców jesteśmy postrzegani negatywnie w społeczeństwie.

Niezależnie od sposobu postrzegania własnej płci Rafał nieświadomie niszczy bliski, intymny związek. Ani wiek, ani orientacja seksualna, tym bardziej jego płeć i poziom testosteronu nie są czynnikami, które mogłyby mieć wpływ na jego zachowania autodestrukcyjne. Te zachowania jak wirus zostały

wszczepione do jego osobowości przez ciebie, ojcze, i przez ciebie, matko, i wyniesione jako wzorzec relacji z domu rodzinnego.

Droga mammo lub drogi tato, nie zmienisz orientacji seksualnej swojego dziecka, ale nie pozwól, aby homofobia wyrwała z Twoich dłoni drogowskaz, bo przecież taka jest twoja rola – bycie dla swojej pociechy drogowskazem do przystanku „szczęście”. Jeśli pozwolisz na to, w sposób masywny odbije to piętno na waszych wzajemnych relacjach w przyszłości. Każde dziecko, bez względu na to czy jest hetero- czy homoseksualne, potrzebuje jedyne uczucia – twojej miłości, drogi czytelniku.

Mamo lub tato, życzę ci przyjemnej lektury.

Tomasz Ziubiński

Zanim, drogi czytelniku, sięgniesz po moją książkę, mniej na uwadze fakt, że język jest niewybredny, czasem mocno wulgarny, jak to między mężczyznami, tymi hetero- i nieheteronormatywnymi, w życiu bywa.

Wszystkie postaci jak również opisane sytuacje są oparte na faktach, ale na prośbę bohatera zostały tak zmienione, aby oddalić je od jakiegokolwiek podobieństwa do realnych osób i zdarzeń.

Autor

Targówek, dzielnica Warszawy. Dzisiaj nie ma we mnie przymusu degradowania tego miejsca do przymiotnika „gówniany”. Mimo to nawet teraz, kiedy mijam Stadion Narodowy, aby skręcić w lewo w Targową, a tuż za dworcem Warszawa Wileńska ponownie w prawo, moje serce zaczyna bić szybciej, a ciśnienie już nie tak mocno jak kiedyś, ale jednak szybuje w górę.

Parkuję samochód przed dziesięciopiętrowym wieżowcem z wielkiej płyty. Przez szybę oglądam wejście do klatki schodowej, z której kiedyś wybiegałem z posiniaczoną i zakrwawioną twarzą. Otwieram drzwi, wysiadam. Wiatr unosi pożółkłe liście z trawnika, a stare kobiety z ławeczki rozpoznają we mnie tamtego Rafała sprzed lat.

– Dzień dobry – odpowiadam.

Podmuch targa moje długie, jasne włosy. Unoszę w górę twarz, spoglądam na ósme piętro. W oknie stoi ta sama lampka, co dziesięć lat temu. W przeciwieństwie do mnie ściany pamiętają więcej, niż ja sam bym tego chciał. Przekraczam próg klatki schodowej. Ten sam smród wydobywający się z piwnicy. Obskurne ściany, z których odlatuje tynk, brudne schody, których nikt nie sprząta. Ludzie tutaj są biedni. Nie stać ich na płacenie czynszu, więc administracja budynku nie zatrudnia dozorczy. Nic się nie zmieniło.

Wsiadam do windy. Te same grafiki namalowane czarnym flamastrem przez dzieciaki sąsiadów. Moja ulubiona: „HWDP”, a poniżej, tuż pod lustrem, ta pozostawiona jedenaście lat temu przeze mnie „R+M=?”. Dotykając dłonią literki „M”, uśmiecham się do swojego odbicia w lustrze. Im bliżej ósmego piętra, tym bardziej mój puls szaleje.

Stara winda szarpie z impetem, aby po chwili całkowicie zatrzymać się w bezruchu. Otwieram drzwi na korytarz. Wiem, że kiedy je puszczę, ponownie dotkną zapadki, a winda natychmiast ruszy w dół.

Tuż przy drzwiach, w kwietniku na trzech stalowych, oprószonych rdzą prętach, stoi ta sama paprotka.

Wypuściła mnóstwo nowych liści. Tamte, które ja pamiętam, obeschły i zostały wyrwane przez matkę. Ten kwiat był jej oczkiem w głowie, chociaż wielokrotnie lądował na posadzce, kiedy ojciec wracał pijany do domu.

Sięgam po klucze do jasnej, zamszowej torby na ramię. Wkładam do zamka, próbuję przekręcić. Idzie gładko, chociaż byłem pewien, że zmienił zamki w drzwiach. Czuję ciężki zapach odsmażanych ziemniaków.

– Mamo?

Wchodzę niepewnie w głąb korytarza. Tutaj nie czuję się jak u siebie, wręcz przeciwnie. Jestem intruzem, który mierzy się z koszmarem swojego dzieciństwa.

– Mamo...?

Po prawej stronie wejście do mojego pokoju. Idę dalej. Tuż za nim były pokój Damiana. Zaglądam. Nic się nie zmieniło. W przedpokoju ten sam bieżnik na podłodze, lustro w obskurnej ramie tuż przy drzwiach do łazienki. Idę do kuchni.

– Mamo...? Jesteś?

Na lodówce dostrzegam przytwierdzoną magnesem kartkę. Rozpoznaję charakter pisma matki. To charakterystyczne „S” z zawijaszem u dołu: „Synku, pojechałam w odwiedziny do cici Hani, ściskam, o nic się nie martw, wracam jutro”.

– Wpada na kawkę do ukochanej mamusi.

Przysiadam na krześle, rozglądam się dookoła. Ten sam stół, ten sam mały taborecik, na który sadowiłem swoją pupę, pomagając matce przy obieraniu ziemniaków. Kiedy wyprowadzaliśmy się z domu babci Marysi, ojciec w pijackim amoku chwycił siekierę i chciał napalić nim w piecu. Matka uratowała mój taborecik.

Wstaję i idę do gościnnego. Te same fotele, ława, nawet zasłony i firany te same, pożółkłe od dymu z carrow, które mu podkradałem i ukradkiem paliłem przy zsypie na śmieci. Jakby czas stanął w miejscu.

Wycofuję się. Przechodzę korytarzem. Łapię za klamkę, z biciem serca otwieram drzwi do mojego pokoju. Łzy same cisną mi się do oczu. Uświadamiam sobie ubogość mojego dzieciństwa, ból, którego nikt nie wyrwie z mojego serca, nawet Maciek.

Mój tapczan, moja szafa, moja lampka, biurko, podłoga bez dywanu. Siadam na tapczanie, rzucam torbę, patrzę na wprost, gdzie na drzwiach szafy wisi lustro, w którym tyle razy oglądałem swoją twarz, a patrzenie na nią bolało, rozrywało gdzieś od środka.

Wybierałem ból fizyczny zamiast psychicznego. Nacinałem lekko skórę zyletką, posypywałem solą, bo chociaż w ten sposób mogłem poczuć łyżę na policzkach. Kiedy ból ustępował, zasypiałem. Płytko, krótko. Często budziłem się zlany potem, gotowy do zrywu.

Zatrzymuję wzrok na odbiciu. Przez moment dostrzegam tego pogubionego maślaka z dziwnym nazwiskiem. Jedni, kiedy się przedstawiał, szydzili z niego, inni z powagą, acz lekkim niedowierzaniem po-

dawali mu rękę. Nawet swojego imienia nie lubiłem, chociaż dawało siłę, kiedy było wypowiedane pieszczotliwie... Miłość, którą powinienem był czuć jako szczerą, miała się nijak do tego dzieciaka, który bał się, nie miał prawa zasnąć, był skazany na czuwanie. Każdego dnia musiałem udowadniać, że jestem wartościową samą w sobie. Kimś więcej niż workiem treningowym dla tego bandyty. Przecież nie mógł kochać własnego dziecka, a jednocześnie tak nienawidzić!

– Dawno się nie widzieliśmy, panie Działo...

Pięćdziesięcioletni trep w randze pułkownika, który ożenił się z zastraszoną przez babcię kurą domową. Dzisiaj ma czterdzieści dziewięć lat. Była uległa, całkowicie podporządkowana władzy. Moja matka.

Od trzynastego roku życia prowokowałem ojca do bycia większym zbrodniarzem, szczególnie kiedy fi-nezyjnie pokręciłem tyłkiem lub kobieco odgarniałem włosy z czoła. Matka mnie nie broniła. Moje pragnienie ciepła rodzinnego i ucieczki od koszmaru nie były bytem stałym, jedynie emanacją zbrodniarza, który dzierżył mój los w swoich łapskach. Czy mogłem być ponad to i czekać na łaskę? Czy to byłby mój własny, wybrany przeze mnie los? Czy ułaskawieniem byłaby śmierć?

Jak to dobrze, że dzisiaj nie muszę odpowiadać na te pytania, chociaż wtedy wkurwiały mnie frazesy o szczęściu, radości i prawdzie.

Za oknem zrobiło się ciemno. Pada spokojny deszcz. Krople uderzają o szybę, a ja czuję dreszcze na całym ciele. Wstaję z tapczanu i idę do kuchni wstawić wodę na herbatę. Zaglądam do lodówki.

– Pusto jak kiedyś.

Górna półka była zarezerwowana dla Damiana. Tam były najlepsze smakołyki: prawdziwa szynka, wiejskie kielbasy, jogurty, słodycze. Mnie nie wolno było tam zapuścić żurawia, a co dopiero uszczknąć cokolwiek. Ojciec tylko czekał na pretekst. Na dolnej królowało światło i szron. Czasem pojawiał się kefir, jakaś bułka, a w odruchu dobrego dnia dla gnębionych pedałów kawałek podwawelskiej czy mortadeli. Do dnia, kiedy wybiegłem zakrwawiony z tego mieszkania, nie znałem smaku śniadania.

Rzucam okiem na suszarkę z naczyniami. Wszystkie talerze są pedantycznie poukładane, jeden za drugim.

– Cała matka! – mruczę pod nosem.

Pstryk. Woda przestała wałować się w czajniku. Zalewam herbatę wrzątkiem, wciskam resztki z cytryny znalezionej w lodówce. Nie grzeszy świeżością. Podtrzymując dłonią spodek, na której stoi szklanka, idę do gościnnego. Stawiam szklankę na ławie i siadam w fotelu. Po kilku łykach, kilku spojrzeniach na regał, który pamięta czasy Gierka, obrazy dopadają moją głowę jak czarny wyżeł powłóczący zagryzionego lisa przez łąki. Cisną się do środka z każdym łykiem herbaty, z każdym spojrzeniem na ten pokój, miejsce bólu i cierpienia...

Wrywał mnie ze snu, ciągnął za włosy, wlokąc ciało po podłodze, a potem zaczynał kopać. Bez krzyku, bez jęku, bez łez. Patrzyłem prosto w jego oczy. Wyzywał mnie od ciot, pedałów, cwelów i lachociągów. Kiedy warczał, piana leciała mu z ryja. Kiedy kończył, poobijany wracałem do łóżka, słysząc w dali głos matki:

– Mam nadzieję, synku, że już więcej nie popełnisz błędu i nie sprowokujesz taty.

Musiałbym przestać oddychać, wtedy z lubością zgasiłby kolejnego peta na mojej dłoni – taki psychopatyczny rodzaj resuscytacji. Kiedy serce jest na pograniczu aktywności, lekarze dokonują iniekcji epinefryny, powodując natychmiastowe przyspieszenie akcji, wzrost ciśnienia tętniczego, rozszerzenie oskrzeli, a także źrenic. To wszystko powoduje, że wracasz z krawędzi życia i śmierci... do życia. Ten sam efekt osiągał, gasząc peta na mojej dłoni, czasem klatce piersiowej.

Pomimo takiej ilości bólu i upokorzeń wszystko pamiętam. Każdą sekundę, każdy kopniak, policzek, uderzenie, każdy siniak, uczucie stłamszenia, sponiewierania, wyklęcia, przeklęcia. Każdy krzyk, zamach jego nogi do skopania, każdy mars na twarzy... ojca. Każde przekleństwo. Wyzwiska huczą mi w głowie jak fantazja o rozbijanym talerzu przez matkę o posadzkę podłogi w obronie poniewieranego syna.

– Bękartcie, łachmyto, debilu, koniobijco z małym chujem...

To była tylko fantazja, tylko fantazja. Kończyła wycierać talerz, chowała do szafki. Wykonywała tę czynność z takim samym namaszczeniem i niewzruszeniem, jak w czasie delektowania się kawą w jadalnym przy czytaniu artykułu o wydarzeniach z Bliskiego Wschodu, które wzbudzały w niej tyle samo zainteresowania, co zeszłoroczny śnieg na trawniku przed blokiem.

Wstaję z fotela. Ocieram łzy. Podchodzę do okna. W odbiciu widzę moją twarz.

– Prześladujesz mnie...

Czułem się jak śnieg, czułem, że topnieję. Mając świadomość, że tego procesu nie da się zatrzymać, dawałem sobie przyzwolenie na odejście. Osuwałem się w otchłań czerni, a kiedy wchodziłem tam, odwrotu nie było. Gdyby wtedy jakimś cudem ocknęła się i rozbiła ten cholerny talerz o posadzkę, może nie byłoby za późno? Mogłaby mnie przytulić, powiedzieć, że wszystko będzie już dobrze. Mogłaby nawet poczytać bajkę na dobranoc. Zaśpiewać kołysankę do snu. Posiedzieć przy mnie, poczekać, aż zasnę. Nie musiałyby przeproszać.

– Dość! Dość! Nie ma cię już, Działo! Nie ma cię! Słyszysz?

Odwracam twarz od okna i obracam się na pięcie. W kuchni myję szklankę, odstawiam do suszarki. Wracam do swojego pokoju. Wyciągam z szafy koc i poduszkę. Kładę się w ubraniu, przykładając głowę do jaśka.

Po jakimś czasie budzi mnie walenie do drzwi sąsiadów. Patrzę na komórkę: dziesięć po drugiej. Sąsiad nie daje za wygraną, wali w drzwi jak opętany. Jak Maciek dziesięć lat temu, kiedy ojciec skatował mnie za to, że obciąłem włosy na krótko.

Ile lat musiało upłynąć, abym uświadomił sobie, jak mocno niszczyłem tego chłopaka. Kiedy go kochałem, był dla mnie jak tlen, a kiedy nienawidziłem – lustrem, w którym dostrzegałem odbicie ojca, choć to ja dzierżyłem narzędzie zbrodni w głowie. Nie biłem, nie kopałem, nie wyzywałem, ale upokarzałem Macieja oziębłością, odrzuceniem, fochami, nienawistnym spojrzeniem. Zabijałem słowem, które oddalało mnie od tej wymarzonej i wytęsknionej miłości z ławy gimnazjalnej. Upór i mądrość Macieja zatrzymywały mnie w swoistym tańcu z zimnym emocjonalnie tasakiem, którym było moje ciało – jak ja-dowity wąż. Każda próba zbliżenia, podjęta przez Macieja, groziła mu śmiertelnym ukąszeniem. Byłem

wtedy nim, swoim ojcem. Odtwarzałem to, co znałem z autopsji popieprzonego dzieciństwa: tak bardzo go kochałem, że aż musiałem „zabić”.

Sięgam ręką po torbę, próbuję znaleźć zapalniczkę.

– Jak to się dzieje, że ja noszę ze sobą tyle pierdół?!

Nie mogą wyczuć jej dłonią, zrywam się z tapczanu, odwracam zamszowe dziadostwo do góry dnem i wszystko łąduje na łóżku. Także papiery, które przed wybiegnięciem z domu, na szybko, w nieładzie wrzuciłem do torby. Dostrzegam napisany grubą czcionką, kursywą, tuż pod datą dwudziestego sierpnia dwa tysiące dwunastego roku tytuł: Divorce settlement.

– Niech sobie w dupę wsadzi ten świstek papieru!

Żadnej ugody rozwodowej nie będzie, dopóki nie dowiem się prawdy.

Chwytam paczkę papierosów, wyciągam trzęsącą się ręką cieniasa i przypalam.

– Żadnej ugody nie będzie – powtarzam na głos, rozganiając dłonią dym tytoniowy.

Przez tyle lat wzbudzał mój podziw. Nie udźwignąłbym tej patologii nawet przez jeden tydzień, gdyby nie fakt, że on trwa przy mnie od trzynastu lat – wcześniej jako kumpel i przyjaciel, teraz jako partner – mimo tylu upokorzeń, których doznał ode mnie.

Może już były partner? Kurwa! – Łzy same cisną się do oczu.

Otrzymałem od losu kogoś, o kim inni mogą tylko marzyć. O kim mogą czytać w tanich romansidłach za grosze z moherowych dyskонтów. Ja mam (czy mam?) go każdego dnia, każdego poranka z zapachem kawy...

Kiedy Maciej wstawał o siódmej, biegł do kibelka, włączał ten miałki program newsowy: „Wstajesz i wiesz” – chociaż on, żartem, witał mnie słowami: „Wstajesz i ssiesz!” – po czym wlewał wodę do czajnika. Pstryk – dwa tysiące watów wyżerało energię jak ojciec moją witalną, młodzieńczą radość i siłę.

Maciej rzucał w przestrzeń budzącego się dnia w naszym M-4 bez troskie:

– Misiek! Kawa?

– Herbata... – odpowiadałem z poranną deprechą w niewyspanym, zachrypniętym głosie.

Zwlekałem dupsko z łóżka. Ociężale posuwałem się naprzód w kierunku łazienki, jak sześćdziesięcioletni emeryt z BMI większym niż czterdzieści, któremu trzeba było wrzucić tabletkę Prozacu do herbaty tak, aby nabrał rozpędu na kolejny dzień, do następnej nocy bez bólu i przygnębienia.

Przekornie piłem czarną herbatę z cytryną. Może dlatego, że nigdy nie pamiętał o jej kupieniu i wtedy miałem powód do ataku? Biedak... Wytresowałem go jak psa, by idąc na spacer, pamiętał o szacunku dla pana.

Czasem wykrzesywałem z siebie siłę na to, aby postawić garnek na gazie, wlać mleko, wsypać owsiankę,

dołożyć trzy łyżki brązowego cukru, stać i mieszać, aby po chwili, tuż przed końcem gotowania, dosypać garść świeżych malin lub kilka kawałków brzoskwiń. Najlepiej jednak smakowała ze świeżymi truskawkami.

Pomimo tego że ojciec dość sprawnie zaorał mój czerep, w przeciwieństwie do Maćka odżywiam się zdrowo. Od zawsze dbałem o lekką kuchnię. Na obiad warzywa gotowane na parze, czasem pieczone z chudym indykiem w rękawie. Kolacja maksymalnie do dziewiętnastej. Lekkie kanapki z razowym pieczywem, posmarowane twarożkiem z jogurtem, a na nim starannie ułożone rzodkiewki. Wszystko posypane siekaną pietruszką lub koperkiem.

Kiedy spocilem się przy kuchni, czułem ból rąk od mieszania chochlą w garach, nie przypaliłem mleka, a indyk nie był zbyt suchy, podawałem do stołu. Maciej na widok zdrowego jedzenia zazwyczaj uśmiechał się przez jeden kęs, drugi... z kreacją aktorską, godną niejednego mistrza sceny teatralnej, udawał, że mu smakuje. Działał, przetykał, połykał, uśmiechał się porozumiewawczo, ale wiem, że robił to tylko dla mnie. Stanąłby na głowie i zatańczył oberka, gdyby miało to sprawić, że się uśmiechnę. Z każdym nowym kęsem na jego twarzy malował się obraz pobliskiej budki z kebabem.

Ależ ja byłem żałosny... – pomyślałem, mając coraz cięższe powieki. Opadały w takt uderzeń ciężkich kropel deszczu o szybę.

Moje noce były długie, samotne, bezsenne. Próbowałem zasypiać o północy, aby obudzić się o trzeciej nad ranem. Kręciłem się po mieszkaniu, robiłem herbatę, wyglądałem przez okno. Czasem paliłem Maćkowego cieniasa. Zasypiałem ponownie około piątej. O siódmej budzik w telefonie niemiłosiernie wyrwał mnie ze snu, który dopiero rankiem był głęboki. Z kolejnymi dźwiękami cholernego ustrojstwa dochodziło do mnie, że muszę wstać, odlać się, wyszczotkować zęby, wziąć prysznic. Wciągnąć na dupę spodnie. Musiałem wyjść z domu, wsiąść do autobusu, spędzić w nim czterdzieści pięć minut. Musiałem nanieść poprawki do tłumaczeń, które wykonywałem dla stałych klientów. Dzięki nim miałem poczucie, że moja egzystencja z Maciejem nadaje naszemu związkowi jakiś sens. Chociaż te parę groszy, które dokładałem do wspólnego gara z jedzeniem, rachunkami za wodę, prąd, gaz, kablówkę z Internetem. Oto był cel mojego życia – płacenie rachunków wbrew oczekiwaniom zaradnego Macieja, który przecież wszystko ogarniał. Zarabiał tyle, że wystarczało na życie, podróże i cokolwiek tam jeszcze, w przeciwieństwie do mnie, kolesia, który był ubogim cherubinkiem wyrwanym patologii z paszczy. Pacholęciem z gównianego Targówka, lekko nadgryzionym, nadtrawionym, rachitycznym, które leżało, pachniało, marudziło, wznecając histeryczne wojny o byle gówno.

Czasem wpadły dwa tysiące miesięcznie, czasem trzy. Opłacałem te jebane rachunki. Byłem ogarniętą patologią. Byłem choleryczną pindą, która zna kilka języków obcych. Poznałem je, aby chronić się przed ciągłym lękiem, nurkowałem w książki, a że nauka języków obcych pochłaniała cały wolny czas, dawało mi to alibi, chroniło przed biciem.

Znam sześć języków: angielski, niemiecki, francuski, hiszpański, włoski i rosyjski.

Jednego Maciejowi nie można odmówić: jest zorganizowanym typem, dosłownie zaprogramowanym na pracę. Jego rozkład dnia do dzisiaj jest stały. Kiedy stary zegar jego pradziadka, zabrany z rodzinnego, przedwojennego dworku w Dobrzeńcu, wybijał dziewiątą, siedział przy laptopie, sprawdzając ilość zamówień, które spływały przez całą noc na pocztę e-mail. Miał ich zawsze w cholerę. Był jednym z najlepszych sprzedawców, tym, co to w Internecie wzbudza zaufanie na pierwszy rzut oka na zielone komentarze. Pakował te chińskie świecidełka w bąbelkowe koperty. Przed czternastą wrzucał pedantycznie

opakowane szarym papierem pudełeczka do wielkiej, czarnej torby na ramię i biegł na pobliską pocztę. Po piętnastej podliczał kwity, a zaraz potem wysyłał dumnego SMS-a z informacją o obrotach. Szampana piliśmy przy pięciu tysiącach – zdarzało się, nierzadko.

Nie przepadam za bąbelkami. Mój ojciec pysznił się jak paw, kiedy świętował awans. Kupował najdroższego szampana, kiedy matka często nie miała co do gara włożyć. Na jednej butelce nigdy się nie kończyło, a kiedy opróżnił kilka, rozpoczynał polowanie...

Siadam na tapczanie. Sen odszedł, a za oknem ciągle pada deszcz. Zatraciłem się we wspomnieniach. Chowam twarz w dłonie, biorę głęboki oddech, po czym odgarniam włosy do tyłu. Wstaję, idę do kuchni, nalewam wody do szklanki. Wypijam duszkiem. Patrzę na przedpokój, gdzie często jako dzieciak z wielkimi, przerażonymi oczami stałem jak nieruchome ciele, które czuje, że koniec jest bliski. Kat trzymał w ręku narzędzie bólu i było tylko kwestią czasu, kiedy skończy tyradę werbalną, aby przejść do tej fizycznej, podczas której ból ciała był przerywnikiem bólu duszy – towarzysza mojego życia, odkąd pamiętam.

Przystaję tuż przy drzwiach wyjściowych z mieszkania przed tym starym lustrem, którego ramy pokrywa biała, odpryskująca od drewna farba.

– Jeszcze parę lat i czeka cię kwas hialuronowy, panie Woronowicz – mówię do swojego odbicia, naciągając lekko poliki dłońmi, po czym rozwieram paszczę od ucha do ucha. – Podobno ładnie się uśmiecham... Odruch wyuczony jak żonglerka w cyrku.

Gaszę światło w przedpokoju. Rozbieram się do bokserów i wskakuję pod koc. Próbując zasnąć, wlepiam wzrok w moje okno, które kiedyś wydawało się jedynym, symbolicznym substytutem wolności i fantazji o wielkim świecie, który gdzieś tam czekał na mnie...

Dziesięć lat temu moje wnętrze było puste, pełne lęku, konfliktów, sprzecznych emocji, których nie potrafiłem okiełznać. Jedynie Maciej mnie rozumiał, chociaż kiedy zbierały się masy złych emocji i podływały pod sam czubek korka, wybuchałem jak wulkan. Nic nie było w stanie mnie zatrzymać. Bał się mnie... jak ja się bałem, będąc niszczonego pięciolatkiem, którego ojciec katował sznurem od żelazka po całym ciecie. Za nic. Tylko za to, że chciał być kochanym dzieckiem, zbliżyć się, przytulić, poprosić o bajkę na dobranoc.

– Boże! – Zrywam się na równe nogi. – Po co ja tutaj przyjechałem!? W tym domu nigdy nie odnajdę spokoju ani tym bardziej zrozumienia!

Zaczynam wciągać spodnie i wybiegam do przedpokoju po buty. Kiedy je ubieram, kątem oka, przez otwarte drzwi do pokoju matki, dostrzegam dwie fotografie stojące na komodzie.

Jej pokój był jak niedostępne sacrum. Przekroczenie progu groziło unicestwieniem. W jej szufladach ojciec trzymał najbardziej wyuzdane, obleśne pornole, które podkradałem i zabierałem do domu Maćka, gdzie pod nieobecność jego rodziców urządzaliśmy seansy.

W rozpiętych spodniach, z jednym butem na prawej stopie kuśtykam do pokoju matki. Siadam na jej łóżku, zapalam nocną lampkę. Kładę głowę na poduszce. Coś uwiera. Spod poduszki wyciągam zeszyt, gdzie są wklejone zdjęcia z moich sesji fotograficznych.

– Hmm... Jakimś cudem zdobyła nawet te z japońskiego Vogue'a...

Odkładałam zeszyt na szafkę. Zamykam oczy i na progu snu i jawy widzę Macieja, który próbuje zawiesić pięćdziesięciopięciocalowego samsunga na ścianie sypialni, walcząc z wiertarką udarową, która nijak nie daje się mu okiełznać.

Kiedy po maturze przeprowadziliśmy się do Legionowa, ja miałem zaplanowaną ścieżkę edukacji na kolejne pięć lat, w przeciwieństwie do Macieja, który wzruszył ramionami i trzymając w prawym ręku niesforą wiertarkę, oświadczył beztrasko:

– A do czego one są mi teraz potrzebne?

Z każdą sekundą wzbierała we mnie lawa braku akceptacji dla jego decyzji. Odwróciłem się na pięcie i wyrwałem do kuchni jak oparzony.

Odłożył wiertarkę na podłogę, pobiegł za mną jak ratlerek za swoim panem, próbując tonować to, co było nieuchronne:

– Powiedziałem, że się zastanawiam...

Zerwałem się wtedy z krzesła, które siłą podrywu straciło stabilizację i walnęło o podłogę. Widziałem kątem oka zrezygnowaną twarz Macieja. Zastygł w bezruchu.

Kiedy zakładałem płaszcz, stanął za plecami, próbował mnie przytulić. Obruszony, sztywny wymysknąłem się z uścisku. Trzasnąłem drzwiami. Wyskoczyłem jak oparzony przez drzwi klatki schodowej i skierowałem się ku głównej ulicy.

Na przystanku autobusowym triumfowałem! Zostawiłem go. Osadziłem w głowie Macieja tyle winy, ile dało się pomieścić. Nie było we mnie zawahania, że mógłbym zawrócić, wejść na górę, przeprosić. To przecież ja wiedziałem najlepiej... wszystko!

Zanim laur zwycięstwa opadł, a mój wewnętrzny kat w głowie przygasł, zanim dotarło do mnie, że Maćko dba nie tylko o siebie, stoczyłem w wewnętrznym dialogu kilkanaście bitew z samym sobą, na przemian idealizując i dewaluując chłopaka i jego decyzje. W jednej minucie jawił się jako ten zaradny, zarabiający z całą masą najlepszych pomysłów, stawiający siebie na piedestale głowy pedalskiej rodziny. W drugiej minucie przeżywałem siebie samego jako ogarniętą patologię, zgodną i uległą, bez wyjścia awaryjnego, skazaną na łaskę pana.

– Jest dość późno, nie mam bladego pojęcia, o której skończę te tłumaczenia dla twojej matki, więc przyjedź po mnie o drugiej.

– A gdzie „poproszę”?

Rozłączyłem się. Cisnąłem telefonem o biurko. Musiałem wyglądać komicznie. Zawsze, kiedy coś nie szło po mojej myśli, zakładałem nogę na nogę i bujałem nią to w przód, to w tył, nie zwracając uwagi na to, kto dostanie w zęby.

– Poproszę.

– Nie przekonujesz.

Pogrywał ze mną, ale mnie trzeba było temperować jak burą sukę. Gdybym był na jego miejscu, dawno bym jebnął drzwiami, zostawił kartkę na stole: „Jak się ogarniesz, matole, to zadzwoń” i tyle by mnie widział. Facet nie dość, że miał anielską cierpliwość, to jeszcze niewygórowane wymagania – jedynie prosił o zwykłe „proszę”. Hm, o czułe „proszę”...

– To ja bardzo proszę – wydusiłem w końcu z siebie.

– Okey, będę – odpowiedział, uchachany po same pachy.

Przypominam sobie o zdjęciach, które stoją na komodzie. Wstaję i biorę ramkę do ręki. Miałem wtedy może z siedem lat, Damian najwyżej roczek. Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście...

To tam było zrobione, tak, pamiętam to dobrze... – myślę.

Uwielbiam te ulice o każdej porze roku. Każdego dnia ciut wcześniej wychodzę z naszego mieszkania w Legionowie i wysiadam dwa przystanki przed uniwerkiem. Podczas porannego spaceru delektuję się historią mojego miasta. Fantazjuję o przeszłości. Widzę przystojnych, zadbanych mężczyzn w surdutach. Dostrzegam ich nienaganne maniery w przeciwieństwie do tej kloszardowej nowomody z porozciąganyymi chińskimi sweterkami i przetartymi džinsami z wyszarpanymi dziurami na dupsku. Przysiadam na kawie u Bliklego, zjadam pączka. Epoka nienagannych manier jest zdecydowanie bliższa memu sercu.

– Zaraz, zaraz... A to gdzie było zrobione? Ach tak, u babci Marysi w Ossowie.

Wtedy to były zimy! Oszronione gałęzie drzew. Kiedy całe miasto było takie czyste i białe, nakrywałem się kołdrą po sam czubek nosa jak berbecie, co to budują w babcinych chatach norki z koców i krzeseł, udając niewidzialnych. Nawet zimą uwielbiałem, kiedy okno było lekko uchylone tak, aby rześkie powiewy smagały moje wynurzone spod kołdry stópki. Jako dziecko zawsze spałem przy otwartym oknie. Dopiero podczas terapii dotarło do mnie, że w ten sposób prowokowałem przeziębienia. Tylko wtedy mogłem liczyć na jakiekolwiek zainteresowanie z ich strony.

Może zabiorę te zdjęcia ze sobą do naszego domu? Postawię na kominku, naprzeciwko mojej ukochanej sofy, i pijąc herbatę z cytryną, będę miał ich wszystkich chociaż na fotografiach? Każdy ma przecież jakąś matkę, jakiegoś ojca.

Dzisiaj się ich nie wstydzę, pogodziłem się z faktem, że moja matka, w przeciwieństwie do matki Maćka, nie jest bizneswoman, nie budowała firmy latami, osiągając taki poziom, że mogłaby zarządzać biznesem z każdego zakątka świata. Pogodziłem się nawet z tym, że nigdy nie była czułą i dobrą kobietą, a gdy byłem podrostkiem, to mama Maćka dbała o moje kieszonkowe, dając drobne prace do wykonania w swojej firmie. Nienawidzę swojego ojca, ale czy to jego wina, że nie jest panem Andrzejem? Mocno zasadniczym, dystygowanym architektem?

Choć tata Maćka nie jest tyranem, to ten zawsze narzekał na ojca. Mówił o nim „stary zgred, który niczego nie rozumie”. Chłopak miał taki podjazdowy, wkurzający styl pogrywania z rodzicami. Zawsze czuł się bardziej dojrzały, niż faktycznie był. Jako nastolatek uzurpował sobie prawo do niezależności, nie liczył się ze zdaniem rodziców. Uświadamianie krety o nieszanowaniu staruszków wywoływało uśmiech na twarzy szelmy.

– Nie mieszkasz tutaj, nie zabieraj głosu.

Niemniej jednak na temat funkcjonowania Woronowiczów miałem mocno ugruntowany pogląd.

Kiedyś, gdy mieliśmy po piętnaście lat i jak zwykle siedzieliśmy w pokoju Maćka, jego rodzice w gościnnym oglądali właśnie polski film dokumentalny ośmieszający politykę otwartości rządu Szwecji wobec środowisk homoseksualnych. Maciej wstał od monitora i jak to było w jego stylu, oświadczył, że idzie się odlać, pytając przy tym, czy nie przynieść czegoś z kuchni. Zostawił uchylone drzwi. Rodzice dyskutowali po obejrzanym dokumencie. Mama dość stanowczo wyraziła swoje zdanie. Pamiętam, że powiedziała coś takiego, co dawało nadzieję. Tato nie oponował, potwierdził, że ci ludzie mają prawo do własnych wyborów. Maciej słyszał dyskusję i krocząc powoli do swojego pokoju, rzucił do matki:

– Świetnie! Ostatecznie masz dwóch synów. Jest szansa, że któryś jest pedałem, prawda?

Wszedł do pokoju i energicznie klepnął drzwi dłonią, które siłą rozpędu zamknęły się tuż za nim.

– Czemu to powiedziałeś? – Zaciekałem się.

– Bo matka wkurwia tą pseudotolerancją!

Wściekle odsunął krzesło, pacnął czterema literami przy biurku i pogrążył się w Counter Strike’u.

Odłożyłem podręcznik do włoskiego na bok łóżka. Położyłem się. Wlepiłem wzrok w plecy Maćka. Ech, ty durna jełopo, moi nie zrozumieliby połowy słów z tego filmu, a o dyskusji nie byłoby mowy! – pomyślałem.

Poduszka matki jest taka miękka, a kołdra taka przyjemna. Patrzę na zdjęcia, które przed chwilą odstawiłem na komodę. Za oknem pada, krople deszczu coraz mocniej i mocniej uderzają o szybę. Przez lekko uchylone okno wpada wiaterek, który owiewa moje wysunięte spod kołdry stopy. Czuję zmęczenie. Gaszę lampkę...

Drogi Czytelniku, jeśli masz ochotę na ciąg dalszy, prześlij maila na: tz.wdjh@gmail.com z nickiem lub imieniem i nazwiskiem, dostaniesz moją książkę zupełnie free, dedykowaną w PDF.

Pozdrawiam

Tomek

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

tomaszz, dodano 04.02.2017 18:50

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.